
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Ryszard Kwiek – Mamie z podziękowaniem

Urodziłem się 14 marca 1937 r. w Baranowiczach, obecnie miasteczko to należy do Białorusi. Mój ojciec – Witold (1907-1984) był zawodowym wojskowym w stopniu starszego sierżanta i pracował jako rusznikarz w warsztatach 20 pułku Artylerii Lekkiej. Zajmował się głównie naprawą i konserwacją broni ręcznej i dział. Matka – Stanisława z domu Niemyjska-Wenert (1908-1976) pochodziła z herbowej szlachty i jako żona zawodowego wojskowego zajmowała się prowadzeniem domu. W 1938 r. rodzice przenieśli się do Brześcia, ponieważ ojciec otrzymał służbowe przeniesienie i zamieszkaliśmy w zakupionym domu przy ulicy Kasztanowej 70. Był to rejon w okolicach parku, przy drodze do znanej twierdzy. Twierdza brzeska była dużym kompleksem umocnień, jej budowę rozpoczęto w pierwszej połowie XIX wieku. Ze względu na strategiczne położenie stale była rozbudowywana. Od zakończenia I wojny światowej należała do Polski, a po 17 września 1939 r. władali nią Rosjanie, aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. W tym też okresie stała się miejscem kaźni polskich patriotów. Była także więzieniem etapowym dla deportowanych więźniów.

Kilka dni po wybuchu II wojny światowej ojciec obawiając się o nasze bezpieczeństwo, nocą przewiózł mnie i mamę do Ciechanowa – rodzinnego miasteczka moich rodziców. Biorąc udział w działaniach wojennych na froncie północnym i wschodnim w składzie 20 Dywizji Piechoty Armii Modlin, pod

koniec września 1939 r. trafił do sowieckiej niewoli razem ze swoim dowódcą gen. Smorawińskim (zginął w Kozielsku). Dzięki temu, że był w roboczym kombinezonie został potraktowany jako zwykły, szeregowy żołnierz. Rosjanie nie byli zainteresowani przetrzymywaniem szeregowych żołnierzy, ponieważ wiązało się to z różnymi trudnościami szczególnie aprowizacyjnymi, dlatego niezbyt pilnie przykładali się do ich pilnowania. Ojciec znając dobrze język rosyjski wykorzystał najbliższą okazję do ucieczki i wkrótce był wolny. Początkowo ukrywał się w lasach. Obawiał się, że zaczną go szukać, bo konfidentów było bardzo dużo. Na krótki czas wrócił do domu rodzinnego we wsi Malec, około 5 km od Ciechanowca, a później wstąpił do oddziałów Związku Walki Zbrojnej a następnie Armii Krajowej Obwodu Bielsko-Podlaskiego. Posługiwał się pseudonimem „Cygan”. W tym okresie nazwisko Kwiek kojarzyło się z królem Cyganów, pochodzącym z rodu Kwieków. Oczywiście ojciec nie miał żadnego związku z tą grupą etniczną wywodzącą się z Indii, ale z przyjemnością wykorzystał zbieżność nazwiska. Z tamtego okresu niewiele znam szczegółów, wiem tylko, że kilka razy brał udział w odbiciu więźniów i odpowiedzialny był za sprzęt i broń.

Zgodnie z przewidywaniami ojca, NKWD szukało matki i mnie w Brześciu. Byliśmy traktowani jako rodzina wojskowa. Trwało to parę miesięcy. Może i na tym by się skończyły poszukiwania, ale po donosie osoby narodowości żydowskiej, dokładnie z 9 na 10 lutego 1940 roku zostaliśmy deportowani. W Ciechanowcu żyła duża diaspora żydowska. Mama opiekowała się rodziną żydowską, pomagała jej finansowo i dlatego przez pozostałe życie miała żal do Żydów, że nie potrafili być solidarni i skazali nas na tułaczy los.

Po przeszukaniu domu i rewizji, która trwała około 30 minut kazano mamie się pakować. To, że miałem niespełna trzy lata nikogo nie obchodziło. Razem z nami do deportacji przeznaczeni zostali rodzice matki – Bronisława i Stanisław Niemyjscy, oraz jej brat. Szczęśliwym trafem jemu udało się uciec tuż przed przybyciem NKWD. Z Ciechanowca w lutym 1940 roku deportowano niewiele osób, najwięcej mieszkańców wywieziono w czerwcu 1941. Tej feralnej noc nikt z moich bliskich nie wiedział gdzie nas wywożą.

Zawieziono nas na stację kolejową Czyżewo a stamtąd razem z innym, wieziono towarowymi, zakratowanymi wagonami, przez około miesiąc, aż do stacji Kotłas na terenie Republiki Komi znajdującej się w północno-wschodniej europejskiej części Rosji. Z okresu podróży nic nie pamiętam. Z opowiadań mamy wiem, że na postojach funkcjonariusze NKWD sprawdzali wszystkie wagony i zmarłych, wśród których było bardzo dużo dzieci, wyrzucali z nasypu kolejowego. Ich matki, jeśli były to jedyne dzieci w geście skrajnej rozpaczki chowały się między kołami wagonów i gdy pociąg ruszał ginęły. Mama najbardziej martwiła się o moje życie, ale okazało się, że dzielnie znosiłem trudy tułaczki. Mimo że posiłki otrzymywaliśmy sporadycznie, udało nam się nie głodować. Jednak zapasy żywności zabrane z domu wystarczyły tylko na czas transportu.

Na stacji Kotłas odłączono część wagonów, a cały skład skierowano dalej na północ. Nam kazano wysiadać i umieszczono na barkach ciągniętych przez holowniki. Początkowo płynęliśmy rzeką Wyczegdą do dużego portu w Syktywarze i dalej na północ rzeką Peczorą i jej prawym dopływem Usą aż do osiedla Czum. Ale to nie był koniec naszej wędrówki. Dalsza podróż odbywała się drogą lądową: saniami i wozami ciągniętymi przez ciągniki gąsienicowe.

Po kolejnym miesiącu dotarliśmy w rejon miejscowości Ust Workuta, potem pogoniono nas jeszcze dalej na północ. Nasz obóz pracy przymusowej mieścił się jeszcze w tajdze, ale już blisko znajdowała się strefa tundry.

Zamieszkaliśmy w drewnianym, długim parterowym baraku, w którym było bardzo zimno. Większość stanowiły kobiety z dziećmi i osoby starsze. Mężczyźni i to w dodatku starsi byli nieliczni. Łagier składał się z długiego, mieszkalnego baraku, magazynu, stołówki i odrębnego pomieszczenia dla dzieci oraz obiektów należących do komendantury.

Cała nasza rodzina rozmieściła się w pobliżu, a pierwszym zadaniem, jakiego podjęły się kobiety to było poszukiwanie naczyń i ustawianie ich na podłodze pod drewnianym stelażem, aby zminimalizować atak insektów. Nieco później pojawiły się na pryzkach parawany oddzielające poszczególne rodziny i zapewniające minimum intymności.

Polacy mieli za zadanie dostarczać drewno wspornikowe do budowy chodników w kopalniach węgla kamiennego w okolicach Workuty. Przymusowa praca obejmowała zatem wyrąb i obróbkę drzew oraz ich transport. Mama chodziła do lasu i obcinała gałęzie, a babcia zostawała z dziadkiem na terenie obozu, bo byli starzy i niedołężni. Jak szła do pracy to dostawała chleb. Jak nie pracowała, to go nie dostawała i nikogo nie obchodziło, co będziemy jedli i czy umrzemy z głodu.

Racje żywnościowe otrzymywali tylko ci, którzy pracowali. Było to około 300-500 g chleba i ciepła tzw. zupa. Dziadkowie nie nadawali się do pracy, dlatego nie otrzymywali żadnego jedzenia. Wegetowali na granicy śmierci głodowej tylko dlatego, że mogli wymienić przywiezione ubrania za bochenek chleba. Ale trwało to bardzo krótko, bo po około 3 miesiącach zmarła babcia, a po kolejnych 2 miesiącach tragiczna śmierć dotknęła dziadka Stanisława. Nie potrafił pokonać niedźwiedzia, którego napotkał w lesie. Znalezione jego szczątki niedaleko naszego obozu. Był jedną z pierwszych ofiar drapieżnika i od tego czasu przestrzegano rygorystycznie nakazu, aby samotnie nie oddalać się od baraku. Ciała ich zostały umieszczone w trumnach, a następnie zakryte ziemią i pewnie do dziś gdzieś leżą ich kości zanurzone w ziemi, w wiecznej zmarzlinie. Mogiły były niskie – tych, których chowano latem lub wysokie – tych, którzy odchodzili zimą. Z uwagi na zamrzniętą ziemię, trumnę stawiało się na ziemi i dopiero latem formowało się ziemny kopczyk. A zima w okolicach Workuty trwała od początku września do połowy czerwca.

Gdy dorośli pracowali w lesie, dzieci znajdowały się pod opieką miejscowego dozoru. Większość z nich umarła z niedożywienia. Bardzo częste były przypadki, że pilnujący ich Rosjanie zabierali maluchom jedzenie. Przeżyłem tylko dlatego, że mama zabierała mnie ze sobą do pracy i tam dzieliła się swoim przydziałem.

Z opowiadań wiem, że Polacy byli systematycznie poniżani, stosowano wobec nich różne kary za błahе przewinienia np. stanie na mrozie, bicie, zabieranie jedzenia. Najgorsze czasy nastały, gdy terytorium ZSRR opuściły oddziały wojskowe gen. Andersa.

Po powstaniu w 1943 r. Związku Patriotów Polskich w ZSRR, pojawiła się możliwość wyjazdu do pracy do Kazachstanu, czyli na południe imperium sowieckiego. Za stosowną łapówkę i zakupienie Obligacji Pożyczki Wojennej w kwocie 100 rubli zostaliśmy zakwalifikowani do wyjazdu i w końcu 1944 r. wyruszyliśmy w podróż trwającą kilka tygodni. Najpierw tradycyjnie transport saniami i wozami, następnie statkiem rzeczny i na końcu samochodami. Do Kazachstanu nie dotarliśmy, zawieziono nas w inne miejsce niż mieliśmy

wpisane do dokumentów, ale i tak uznaliśmy, że trafiliśmy do raj. Ten „raj” to Krasnojarski Kraj, Kurgański Rejon, II sowchoz Imienia Stalina. Zastaliśmy tutaj zupełnie odmienny, stepowy teren, całkowicie pozbawiony drzew, z licznymi zaroślami i bagnami. Niewielu nas przyjechało, ale mama była zadowolona, że po tej traumie, jaką była śmierć rodziców znalazła się w innych, nieco lepszych warunkach. Nie musieliśmy głodować, bo była tu praca i możliwość zdobycia jakiś dodatkowych środków. Było ciepło i mama nie musiała pracować na mrozie. Ponadto przestano nas, Polaków traktować jak wrogów ludu, a tylko jak naród gorszej kategorii.

Tuż po przyjeździe, na skraju osady wyznaczono miejsce na lepiankę, którą należało wybudować sobie z cegieł produkowanych z krowiego łajna i gliny oraz zadasyć ją trzcina. Nie pamiętam jak ona powstawała, ani jak wyglądała w środku, ale wiem, że klepisko czyli podłoga w niej była z gliny a dach jednospadowy. Wejście było od szczytu i miało zamykane drzwi. Mama sama nie była w stanie jej wybudować, dlatego korzystała z pomocy tubylców.

Wkrótce po przybyciu pierwszy raz najadłem się do syta. A że ma to akcent na dzień dzisiejszy nieco komiczny, no cóż, zmieniają się realia życia. W naszym sowchozie hodowano świnię, a jak są świnię to muszą być również prosiaki. Karmiono je kaszą z rozcieńczonym mlekiem. Przecież takiego jedzenia na Syberii nie podawano człowiekowi, a pracownicy tak tutaj rozpieszczają zwierzęta! Było to dla mnie niepojęte. Dlatego też przez otwór w trzciniowym dachu zakradłem się do chlewka i rękoma odpychając „konkurencję” jadłem prosto z koryta ten boski posiłek, jak długo, nie wiem, ale najadłem się do syta. Cóż to za wspaniałe uczucie czuć w żołądku ciężar zalegającej masy. Gdy tylko minęło kilka chwil i energia z trawionego pokarmu zaczęła docierać do wszystkich komórek ciała, poczułem się naprawdę bardzo silny, mocny i odporny na czekające mnie z mamą trudy. Wspaniała uczta w moim dziecięcym życiu. Powtarzałem potem te wypadki jeszcze kilka razy, a i dla mamy przynosiłem niemałe porcje. Władze sowchozowe nie zauważyły, aby poprzez moje podjadanie prosiaki straciły na wadze.

W tym czasie po raz pierwszy zobaczyłem także bardzo dziwne urządzenie, oczywiście z bardzo daleka, które mama nazwała rowerem.

Chodziłem do rosyjskiej szkoły, ale nie przypominam sobie żadnych polskich dzieci. Ze szkolnych przedmiotów lubiłem tylko rachunki, a po szkole lubiłem chodzić po okolicy. Jak okiem sięgnąć nie było drzew, ale za to dużo bagien i jeziorzek oraz węży. Kilka razy udało mi się podebrać pszczołom trochę miodu.

Nielicznie mieszkający Polacy byli zatrudnieni przy hodowli świń i bydła. Pierwszą pracę mama otrzymała przy obskrobywaniu skór świńskich, które po przerobieniu wysyłane były na potrzeby wojska. Była to dla niej również okazja do zdobywania dla siebie tłuszczu. Po pewnym czasie zmieniła pracę. Zaczęła pracować w mleczarni. Od tego czasu można powiedzieć, że pod względem żywienia nastąpiła znaczna poprawa i nie musieliśmy się obawiać głodu. W sowchozie funkcjonował system kartkowy, ale otrzymywało się również jakieś drobne pieniądze, za które w sklepie można było coś dokupić. Z reguły otrzymywaliśmy chleb wypiekany z maki kukurydzianej. Gdy był ciepły to się jeszcze jakoś trzymał i można go było jeść, jak tylko przestygł, to się rozsypywał.

Mama w tych trudnych warunkach wykazywała się hartem ducha, przebojowością i determinacją. Potrafiła walczyć o nasze przeżycie i byt, i gdy tylko w drugiej połowie 1945 r. powstała możliwość powrotu do Polski dla tych

rodzin, które nie przyjęły obywatelstwa sowieckiego, zapisała się do Związku Patriotów Polskich. A ponieważ pracowała sumiennie i posiadała wykupione obligacje pożyczki wojennej udało się uzyskać zgodę na wyjazd do Polski.

W podróż powrotną do Polski wyruszyliśmy 9 lutego 1946 r., czyli dokładnie w szóstą rocznicę deportacji z kraju, na podstawie umowy z dnia 6 lipca 1945 r. dotyczącej ewakuacji osób narodowości polskiej i żydowskiej. Zawieziono nas na dworzec, ponieważ budynek był zburzony czekaliśmy na zewnątrz. Z tego rozgardiaszu nawet nie pamiętam czy mi było zimno. Gdy tylko zebrała się odpowiednia liczba osób, mogliśmy wsiadać do wagonu. Okazało się, że jeszcze przez kilka dni wagony stały na bocznicach. Do granicy z Polską cały czas byliśmy konwojowani. Był to wojskowy dozór, ale w miarę sprawiedliwie otrzymywaliśmy chleb. Nie było tak strasznie, jak poprzednim razem. Do punktu etapowego – Marki koło Warszawy przybyliśmy 23 marca 1946 r.

Mama uznała, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem będzie powrót do Ciechanowa w którym mieszkał jej brat. Nie mogła zdradzić się, że ma dom w Brześciu, bo byśmy tam już na zawsze zostali. Do wujka dotarliśmy 28 marca 1946 r. Przez cały czas przebywania na zesłaniu mama nie miała żadnych wiadomości o ojcu. Dopiero po przyjeździe dowiedziała się, że ojciec żyje.

W czasie przymusowego pobytu w ZSRR bardzo często słuchałem opowiadań mamy, o kartoflach ze skwarkami, które jadła w rodzinnym domu. Kartofle widziałem, ale skwarek nie i nie mogłem sobie nawet ich wyobrazić. Dlatego doskonale pamiętam, że w Ciechanowcu po raz drugi najadłem się do syta. Były to właśnie kartofle ze skwarkami. Wyjadałem je prosto z kociołka. W tym też czasie, a miałem wtedy już 11 lat, dostałem prawdziwego cukierka – krówkę. Nie był to może smakołyk z górnej półki, ale dla mnie było to coś wspaniałego.

Po wyzwoleniu, ojciec za przynależność do struktur AK i czynną działalność (był w Sztapie Obwodu) został ponownie aresztowany, tym razem przez UB i bez wyroku osadzony w więzieniu w Białymstoku a następnie w Elblągu. Dlatego też 14 maja 1946 r. wymeldowaliśmy się z Ciechanowca i przyjechaliśmy na ziemię odzyskane do Elbląga.

Moi rodzice od wielu lat nie żyją, spoczywają na elbląskim cmentarzu. Na rodzinnym grobowcu umieszczona jest dodatkowo tablica upamiętniająca tragiczne losy moich dziadków, którym nie dane było wrócić do Polski.

*

Wanda Pietrzak – *Samotne dzieciństwo*

Długo w moich snach pojawiły się sceny z zesłania. Towarzyszyły mi w okresie dorastania, a także gdy byłam spełnioną żoną i matką. Ustały, gdy po 28 latach spotkałam się z najdroższą mi osobą, czyli matką, za którą ogromnie tęskniłam i której brak odczuwałam od 1940 roku.

Urodziłam się w 1932 r. w Zdołbunowie. Było to miasto należące do obwodu rówieńskiego w województwie wołyńskim. W domku przy ulicy Kościelnej prowadzącej do kościoła rodzice wynajmowali mieszkanie. Mój ojciec Bronisław Budzyński (ur. 24.12.1900 r. w Kiczkach, powiat Mińsk Mazowiecki) pracował jako policjant. Wychowaniem dwójki dzieci, czyli mnie i starszego o cztery lata brata Ryszarda zajmowała się mama. Pensja tatusia

wystarczała nam na dostatnie życie, w domu nie było biedy, byliśmy zdrowi, dobrze odżywieni i ubrani. Mamusia należała do bardzo zaradnych i przewidujących kobiet, o czym świadczą zgromadzone na nasze dalsze kształcenie pieniądze w kwocie siedmiu tysięcy złotych.

Przez pierwsze dni od wybuchu wojny chodziliśmy do szkoły, chociaż nauka przerywana była częstymi nalotami. Pamiętam, że kilka razy biegłam ze szkoły do domu, bo nauczycielka tym dzieciom, które mieszkały w pobliżu szkoły pozwalała wracać do domu, a z pozostałymi szła do schronu. Lubiłam z bratem być w schronie, ale mamusia panicznie się go bała. O wejściu Rosjan na tereny Polski niewiele wiem, ale jako siedmiolatka nie rozumiałam wielu rzeczy tak bardzo istotnych dla historii naszego kraju.

Nie pamiętam jak długo ojciec pracował na posterunku policji, ale z pewnością do czasu wkroczenia Sowietów do naszego miasta. Kiedy dotarły do niego informacje o lutowej deportacji Polaków z terenów zaanektowanych przez ZSRR, postanowił wyjechać ze Zdołbunowa. Trzykrotnie próbował przekroczyć nowo utworzoną granicę radziecko-polską, ale za każdym razem był zatrzymywany i po kilku dniach zwalniany. Kolejna próba, podczas której towarzyszyła mu mamusia powiodła się. Mimo przelatujących ponad głowami kul, bezpieczne przeczołgali się pod ogrodzeniem z kolczastych drutów i dojechali do Kiczek gdzie czekali na tatusia jego rodzice i rodzeństwo. Babcia prosiła mamę, aby nie wracała do domu, bo wyobrażała sobie, że jeśli matka i ojca nie będzie to Rosjanie dzieci nie deportują. Mogła mamie zaproponować takie rozwiązanie bo wiedziała, że w Zdołbunowie zostalibyśmy pod bardzo dobrą opieką drugiej babci i jej dzieci. Ale czy matka zostawi swoje dzieci? Wracała do nas tą samą drogą sama, choć było jej nieco trudniej i dłużej trwało. Ta eskapada zapewniła ojcu bezpieczeństwo, bo nie zginął od strzału w tył głowy w lasach katyńskich, ale dla mamusi zakończyła się odmrożeniem stóp.

Nikt z moich bliskich nie przypuszczał, że skoro policjant nie mieszka w domu, to zagraża nam jakieś niebezpieczeństwo. Przez pewien czas istniała taka obawa, ale z upływem każdego kolejnego dnia oddalała się od nas coraz bardziej. Nie możemy powiedzieć, że czuliśmy się bezpieczni, ale zaczęliśmy utwierdzać się w przekonaniu, że ta lutowa wywózka 1940 roku była pierwszą i ostatnią. 14 kwietnia pokazał jak bardzo się myliliśmy. Tego dnia przybyło do nas kilku Białorusinów i obwieścili, że jesteśmy przeznaczeni do deportacji. Na spakowanie dali mało czasu, ale mamie poszło to bardzo sprawnie. Mimo zdenerwowania myślała bardzo racjonalnie, zabrała pościel, ręczniki, dla nas dużą ilość ciepłych ubrań. Enkawudzista pozwolił z piwnicy zabrać przygotowane na zimę zapasy konfitur i różnych przetworów. W naszym domu z kuchni do piwnicy schodziło się po schodach, wystarczyło tylko unieść klapę znajdującą się na poziome podłogi. Pamiętam też, że ciągle mamę ponaglali – *skariej barisznia, skariej*. Dalsze pakowanie poszło jeszcze sprawniej, bo wkrótce pojawiła się babcia, mamy siostra i brat i wciąż dokładali nowy bagaż. Przez ten cały czas ciocia i babcia bardzo płakały. Ciocia Ola, młodsza o cztery lata siostra mamy bardzo chciała z nami jechać. Była jeszcze panienką i z tego powodu zżyła się bardzo z nami. Chciała w ten sposób pomóc naszej mamie, która sama bez męża jechała na tułaczkę. Ale funkcjonariusz NKWD sprawdził wykaz i stwierdził – *inna familia, nie nada*. Być może spokój, który towarzyszył mamie, że unikniemy wywózki był uzasadniony, ale nie przewidziała chyba

ludzkiej podłości. Jedna z informacji jaka dotarła do mamusi sugerowała, że znalazła się życzliwa osoba, która zauważyła na liście rodzin przeznaczonych do deportacji brak nazwiska Budzyńskich. Ale czy to była prawda, tego się już nigdy nie dowiem.

Na dworzec kolejowy zawieziono nas ciężarówką. Zastaliśmy tam długi skład wagonów, mnóstwo ludzi, którym towarzyszyły dzieci w różnym wieku. Nie płakaliśmy, chociaż naokoło słychać było szlochania, okrzyki przerażenia oraz słowa modlitwy. Kurczowo trzymałam się maminej spódnicy i nie miałam zamiaru wejść do wagonu. W naszym domu mamusia bardzo dbała o czystość i porządek, a ja miałam wejść z taką ciżmą obcych ludzi do środka wypełnionego pryzkami ze słomą! To było dla mnie niepojęte, ale wkrótce przestałam stawiać opór. Zrozumiałam, że jeśli jest mamusia, to ja jestem bezpieczna.

Gdy tylko pociąg ruszył, na nowo wybuchł płacz. Moja mama, która nie należała do osób płaczliwych, zareagowała bardzo żywiołowo zwracając się do kobiet, aby nie płakały, bo i tak nic nie zmienią a lepiej będzie ukoić strach modląc się razem z księdzem, bo w naszym wagonie znalazł się i ksiądz katolicki i pop. Wyruszyliśmy w kwietniu, czyli za nami były już zimowe mrozy, ale i tak odczuwaliśmy chłód i otulaliśmy się ciepło. Na podstawie własnego doświadczenia mogę sobie wyobrazić jak bardzo cierpiały te dzieci, które znalazły się w lutowym transporcie.

Podróż była strasznie długa, trwała chyba ze dwa tygodnie, bawić się nie mogliśmy, bo nie było miejsca, a jako dzieci byliśmy smutni, bo starsi tacy byli. Pociąg zazwyczaj zatrzymywał się w mniejszych miejscowościach i z wielkich kotłów w nasze pojemniki wlewano jakąś zupę. Była rzadka i tylko jeden raz trafiła nam się parówka. Od momentu zamknięcia drzwi wagonu wciąż byłam głodna, ale to co wydawało mi się głodem w pociągu, w konfrontacji z późniejszym głodem, nie można nazwać głodem. Był to jego przedsmak.

Przerwy na posiłki wykorzystywaliśmy na zabawy z rówieśnikami, najczęściej biegaliśmy, aby rozprostować nogi i korzystaliśmy z możliwości swobodnego wyboru miejsca na załatwienie potrzeb fizjologicznych i higienicznych. Bardzo krępowałam się korzystać z wagonowej ubikacji, czyli dziury w podłodze częściowo osłoniętej kotarą. Dzięki temu, że mamusia stawała za mną i osłaniała mnie miałam trochę intymności.

Kres podróży nastąpił w szczerym polu. Z naszego wagonu wysiedli wszyscy, stan osobowy nie uległ zmianie i wiem, że dużo osób cieszyło się, że nikt nie umarł. Ale znów pojawił się lament, był koniec kwietnia a na kazachskich stepach królował jeszcze śnieg, dookoła było białe, przeraźliwie zimno i cicho. Ciężarówkami nas i pozostały dobytek przewieziono do osady zbudowanej z lepianek niedaleko miejscowości Bułajewo w obwodzie północno-kazachstańskim. Weszliśmy do lepianki w głąb ziemi, nad nią było tylko jakieś zadaszenie i wystająca rura, która pełniła rolę komina. Z otaczającego mroku wyłoniły się piętrowe prycze. W tej ziemnej norze, bo inaczej jej nie można nazwać przebywało nas dużo. Ale czy było nas wszystkich razem 10, 20 czy 30 osób tego nie potrafię określić. Z pewnością mama także nie była zadowolona z warunków, w jakich przyszło nam żyć, bo wkrótce przenieśliśmy się do drewnianego baraku. „Zamieszkaliśmy” na jakimś podwyższeniu, coś jakby na scenie i tam mieliśmy swoje miejsca do spania. W głębi baraku kobiety przygotowały prowizoryczną, połowę kuchnię. Przy tych kociołkach spędzały

niewiele czasu, ale tak sprawnie się organizowały, że dla nas dzieci zawsze coś było przygotowane. Nie zauważyłam, aby były między nami jakieś różnice, wszystkie dzieci sprawiedliwie otrzymywały posiłki.



Kuchnia w baraku (strzałka wskazuje mamę).

Raz na tydzień szliśmy do bani, czyli do publicznej łaźni. Po pierwszym pobycie kiedy zobaczyłam dużo nagich kobiet w różnym wieku i o różnej strukturze skóry nie chciałam już więcej do niej chodzić. Byłam jeszcze dziewczynką, dla której nagość była krępująca i szokująca. Jeszcze nie odkryłam swojej cielesności i nie potrafiłam bez zażenowania paradować nago między dojrzałymi kobietami. Mamusia doskonale mnie rozumiała i następne kąpiele odbywały się w osobnym pomieszczeniu, w wannie. Ale za to udogodnienie musiała opłacić kobietę, która nas tam wpuszczała. Zapłatą były prześcieradła i ręczniki.

Nie wiem, czy mama pracowała, ale aby nie brakowało nam jedzenia coraz częściej wymieniała przywiezione rzeczy na produkty żywnościowe. Było już lato, kiedy pod nasz barak podjechał samochód ciężarowy. Mamusi nie było z nami bo poszła na pocztę odebrać paczkę, którą przysłała babcia. Gdy przyszła siedziałam na ławce i pamiętam jak dziś, mamusia rzuciła mi paczkę pod nogi i powiedziała, Wandziu, nie przyznawaj się co masz. Siedziałam jak sparaliżowana, bo tuż za nią zobaczyłam funkcjonariusza NKWD. Nie wiedziałam co mam robić, a ona podeszła do mnie i do brata, przytuliła, ucałowała i odchodząc powiedziała, że zaraz wróci, bo chcą spisać jakieś dane. I tak zniknęła z naszego życia.

Ogromnie tęskniłam za mamą, przypominałam sobie jej wygląd, uśmiech, ciepło i wciąż płakałam. Dowiedzieliśmy się, że zabrano ją do więzienia w Bułajewie, ale nie wiedzieliśmy dlaczego. Każdego ranka razem z bratem

wędrowaliśmy 3-4 km aby spotkać się z mamą i za każdym razem więzienny strażnik odpowiadał – wracajcie dzieci. Podczas jednej z takich wycieczek, a chodziliśmy boso, nieuważnie stanęłam i w mojej stopie znalazł się gwóźdź. Gdy brat go wyjmował wrzeszczałam ile miałam sił w gardle, by za chwilę kuśtykając iść za nim na czubkach palców. Miałam kochanego brata, opiekował się mną starannie, był nieco starszy, ale tak samo jak ja zagubiony i bezradny.

Nie wiedzieliśmy co z nami dalej będzie, ale to nie było powodem naszych zmartwień. Mieliśmy większe, gdyż skończyły się zapasy z paczki i zaczynał głód. Mimo, że zaopiekowały się nami wszystkie Polki i karmiły tak jak swoje dzieci, to jednak było za mało. Dopiero tutaj odczułam, co to znaczy być naprawdę głodną.

Chyba po dwóch miesiącach od czasu gdy zabrano mamę zajechał do osady samochód ciężarowy i kierowca kazał się nam spakować. Oprócz nas do ochronki, bo tak nazwaliśmy radziecki dom dziecka zabrano jeszcze starszego od nas chłopca. Po jakiś 15 km zatrzymaliśmy się przed ogrodzonym terenem, na którym znajdowały się liczne drewniane baraki. W nich zastaliśmy w różnym wieku dzieci kirgiskie, kazachskie i czeczeńskie, były bardzo zabiedzone. Zakwaterowali nas w osobnych barkach, brata z chłopcami mnie z dziewczynkami. Co tydzień chodziliśmy do bani, raz dostałam kawałek mydła, innym razem nie, żadnego odswadzania także nie było i w rezultacie wszy głowowe, których nabawiłam się w lepiankach miały towarzystwo w postaci wszy ubraniowych. Nawet nie wiedziałam, że można je tak dzielić. Dla mnie były obrzydliwe, ale jak ich tyle wykarmiłam, to można je beznamiętnie wspominać. Pamiętam jak brat starał mi się pomóc ich pozbyć. Zagotował wodę i taką gorącą lał mi na włosy, a stojąca obok kobieta mówiła:

– O Jezus nie lej jej tego wrzątku.

Na co brat odpowiedział:

– Ale Wandzi tak jest dobrze, jej się to podoba.

Autentycznie mówiłam – jak mi fajnie.

Niestety wszy nie udało się usunąć i zapowiedziano mi, że muszę mieć obcięte włosy tak jak wszystkie dziewczynki. Następnego dnia, chociaż wywijając się jak wąż unieruchomiono mi ręce i nogi i wychowawczynie przejechała golarką przez środek głowy. Wiadomo, że później siedziałam spokojnie, bo przecież nie będę chodziła z przedziałkiem tysym na głowie.

Na posiłki chodziliśmy do stołówki, która znajdowała się w znacznej odległości od naszych baraków. Obowiązywała zasada, że idąc w parach należało śpiewać po rosyjsku, bo inaczej nie dostało się jedzenia. Dzieci buntowały się i nie chciały śpiewać, głośno wyrażały swoje zdanie, „żeby Stalin zdechł”. Nie bały się tak mówić, bo wiedziały, że większej krzywdy jaka ich spotkała nie zaznają. W swoim młodym życiu nie doświadczyły nic dobrego. Ale wychowawczynie, aby złamać nasz upór tak długo nas prowadziła, aż zadanie zostało wykonane i ze śpiewem wchodziliśmy do stołówki. Jedzenie było podłe, suchy chleb, coś podobnego do herbaty i jakaś marmolada a na obiad zupa. Zapamiętałam grochową, bo składała się z wody, w której pływały twarde ziarenka grochu. Oczywiście to skrajny przykład, bo zazwyczaj posiłki dawało się zjeść a ja wręcz je pochłaniałam. Jednak na stołówkę wchodziłam głodna i głodna

z niej wychodziłam. Tam po raz pierwszy zobaczyłam drewniane łyżki i miski, w których jedliśmy.

Od babci po pewnym czasie chyba raz na miesiąc zaczęły przychodzić paczki. Po tym jak zaczęły się kradzieże brat odbierał je ze skrytki na poczcie. Dochodziły zazwyczaj suchary i jabłka, bo nie było warunków, aby z półproduktów coś przygotować. Ale my nadal byliśmy głodni. Jednego razu idąc do więzienia w Bułajewie zdecydowałam się z pobliskiego pola ukraść ziemniaka. Obralam go zębami i powoli żułam miąższ, ale nie połykałam go tylko wypływałam. Ziemniak w smaku był obrzydliwy. Co czułam gdy przypominałam sobie rodzinny dom i sytuacje gdy nie zawsze miałam apetyt na chleb z szynką, zrozumieją tylko te osoby, które przeżyły zesłańczy głód.

W naszej sypialni dziewczynki spały po dwie osoby na jednym łóżku. Tutaj nie odczuwałam zimna, ale ogromną tęsknotę za mamusią. W ciągu dnia jej nieobecność jakoś się rozmywała, a to szkoła, popołudniowa nauka i zajęcia. Szczególnie brakowało mi jej właśnie wtedy, kiedy zasypiałam. Szeptem modliłam się o jej zdrowie, powrót do nas. W swojej żarliwej modlitwie do Boga czasami się zapominałam i zbyt głośno artykułowałam swoje prośby, bo koleżanka, która ze mną spała pytała co ja tam tak szepczę. Wstydziałam się przyznać, że się modlę, bo przecież ona tego i tak by nie zrozumiała i śmieliby się ze mnie, bo oni nie wierzyli w Boga, więc odpowiadałam, „że chyba ci się coś wydaje, bo ja tylko tak pochrapuję”. Jediną ich modlitwą było życzenie śmierci Stalinowi.

Niedaleko od naszego sierocińca rósł las. Gdy panowały letnie upały był on dla nas miejscem szczególnie przyjemnym, bo wysokie drzewa i grube warstwy mchu dawały ochłodę. Miał jeszcze dodatkowy walor, udawało nam się znaleźć krzewinki jagód i borówek. Była to namiastka jedzenia, ale za każdym razem ochoczko zapuszczaliśmy się w gęstwiny, aby dotrzeć do nowych polanek. Lata były upalne, temperatury dochodziły do plus czterdziestu stopni, chodziło się pół nago i boso. Zimy zaś były bardzo mroźne, temperatury minus pięćdziesiąt stopni, nie należały do rzadkich, ale nie było wiatrów i śnieżnych zamieci. Uciążliwy dla nas był tylko śnieg szczególnie wtedy, gdy opady były obfite, bo musieliśmy go szuflami odwalać tworząc tunele między zabudowaniami ochronki, aby swobodnie iść do szkoły, na stołówkę czy do bani. Podczas jednej z takich zim odmroziłam sobie stopy, były bardzo sine, ale nikt się tym nie zainteresował i musiałam sama sobie z bólem radzić. Usłyszałam tylko od wychowawczynie, że pobolą i przestaną. Nie dostałam również kożuszka, który leżał w magazynie i musiałam nadal marznąć w jesiennym paltku. Zima była dla nas okresem stałego pobytu w barakach, nie było żadnych zabaw, sanek, zabawek.

Lubiłam chodzić do szkoły, bardzo dobrze radziłam sobie ze wszystkimi przedmiotami. Lekcje odrabialiśmy w świetlicy i nigdy nie potrzebowałam pomocy. Razem z bratem byliśmy najlepszymi uczniami. Za najlepsze oceny w klasie II w nagrodę otrzymałam koc, ale nie pozwolono mi go zabrać do Polski. Na tle mongolskich rysów twarzy wyróżnialiśmy się zdecydowanie jako obcokrajowcy. Ale z tego powodu ani w szkole, ani w sierocińcu nie dokuczano nam. Odnoszono się raczej z rezerwą i zazdrością. Zazdrościli nam, że żyło się nam było dobrze, że mieliśmy niańki i mamki i rodzina wspomagała nas paczkami. Nazywano nas Polaczkami. Początkowo moje sukienki budziły zainteresowanie dziewczynek, bo nowością dla nich były haftki, zatraski i guziki. Potrafiły kilka minut bawić się zapinaniem zatrzasek i nasłuchiwać czy

będzie coś grało. A sukienki z falbankami, kołnierzykami i innymi ozdobami wywoływały fale zachwyty, bo one na co dzień nosiły proste worki z otworem na głowę. Dziś uśmiecham się na to wspomnienie, bo w tych małych dziewczynkach znajdowały się już zalążki kobiecości.

Im dłużej przebywałam w sierocińcu tym bardziej podatna byłam na różnego rodzaju infekcje. Moim świerzbem nikt się nie zainteresował i to chyba od niego powstały mi rozległe owrzodzenia na udach. Miałam wrażenie, że moje ciało gnije. Gdybym została w sierocińcu dłużej z pewnością wdałoby się jakieś zakażenie, co mogłoby doprowadzić do gangreny. Ale babcia, która ogromnie nas kochała i wspomagała paczkami od czasu aresztowania mamy czyniła starania o nasz powrót. Gdy wykorzystała wszystkie drogi urzędowe i nie uzyskała zezwolenia na nasz przyjazd do Polski wystosowała prośbę do Stalina powołując się na swoje radzieckie pochodzenie, bowiem z domu nazywała się Jakowlew. Nie wiemy czy to miało jakiegokolwiek znaczenie, ale prośba została rozpatrzona pozytywnie.



Persja 1944 rok; strzałka wskazuje Mamę.

Do sierocińca dotarła wiadomość, że będziemy konwojowani przez młodego funkcjonariusza NKWD aż do Polski. Z magazynu wydano nam nasze ubrania w tym kożuszek, którego tak bardzo potrzebowałam zimową porą. Po czterech latach od wysiedlenia jechaliśmy normalnym pociągiem a podróż zajęła nam tylko tydzień. W Moskwie mieliśmy przesiadkę i czas ten wykorzystał nasz opiekun na zwiedzanie miasta. Poszedł z moi bratem a ja musiałam pilnować bagaże i byłam bardzo niezadowolona, że mnie zostawili. Na pocieszenie coś mi kupili do picia, ale nie poprawiło to mojego nastroju. Gdy dojechalśmy do komisariatu babcia już na nas czekała. Formalności trochę trwały a my przez ten czas wystraszeni staliśmy obok szafy. Gdy tylko usłyszała –

„oddajemy wam dzieci”, bez słowa nas wyprowadziła i dopiero poza budynkiem przytuliła i rozplakała się. Płakaliśmy wszyscy, ale tylko ja przez łzy wyksztusiłam: „Babciu, ale ja jestem bardzo głodna”. W domu czekała na nas kasza jaglana. Razem z bratem wyjedliśmy całą zawartość garnka. Nie pamiętam czy nas później bolał brzuch.

O tym, że nasza mamusia żyje dowiedzieliśmy się kilka tuż po wojnie. Tak jak nagle z naszego życia tak i nagle się pojawiła. Okazało się, że będąc osobą krytycznie nastawioną do wszelkich absurdów, w tym do sowieckiej rzeczywistości bardzo żywiołowo zareagowała na długa kolejkę za cukrem. Wychodząc z niej powiedziała, że nie będzie stała, niech Stalin sam sobie stoi. Za te słowa, jak stwierdził sędzia dostała łagodny wymiar kary, bo tylko pięć lat więzienia. O pobycie w więzieniu nie chciała opowiadać, a my z bratem nie naciskaliśmy, bo jeśli w wyniku przesłuchań straciła się zęby, to możemy się tylko domyślać bestialstwa funkcjonariuszy. W więzieniu w Bułajewie przebywała tylko kilka dni, gdzie były kolejne nie wiem. Współwięźniarki były różne, nie układało się jej z potężną Rosjanką, która odsiadywała karę za zabicie męża. Mama wciąż słyszała wyzwiska kierowane do niej i pretensje, że słabo pracuje, nie wyrabia normy itd. Pewnego dnia w momencie, gdy prześladowczyni zamachnęła się i chciała łopatą mamę uderzyć udało się jej tylko jęknąć, co się stanie z moimi dziećmi! I tylko te słowa ją uratowały, bo Rosjanka jak dowiedziała się o dzieciach to się przeraziła, że zabiłaby matkę dzieciom. Po tym incydencie obie stały się dla siebie wspaniałymi przyjaciółkami. Mama nie odbyła całej kary, bo gdy ogłoszono amnestię zgłosiła się do armii Andersa. Po zakończeniu wojny zamieszkała w Anglii.

*

Maria Sadowska – Zesłanie na Syberię w oczach polskiego dziecka

*Mojej Mamie
i pamięci tysięcy Matek Sybiraków poświęcam*

Spacerując po elbląskich ulicach z ogromną przyjemnością obserwuję bawiące się dzieci, wesołych i pełnych energii nastolatków. Dumna jestem z osiągnięć edukacyjnych moich wnuków. Są pełni marzeń, kreatywni, cały świat jest w ich zasięgu. I czasami w ten optymistyczny, wręcz sielski nastrój wdzierają się wspomnienia z mojego dzieciństwa. Nie towarzyszy im uśmiech, lecz smutek i zaduma. Pamięć przypomina ukryte w zakamarkach mózgu strach i wspomnienie głodu, które przez wiele lat było nieodłącznym towarzyszem deportowanego w głąb ZSRR dziecka.

A przecież moje dzieciństwo mogło być szczęśliwe.

Pochodzę z Mischelmontów w powiecie dziśnieńskim, gmina Hermanowice, województwo wileńskie. Moi pradiadkowie mieli tam posiadłość. Można powiedzieć, że urodziłam się w 1936 roku jako „panienka z dobrego domu”. Historia mojej rodziny i jej tułaczne losy wynikały nie tylko z faktu zamieszkiwania na terenach przyłączonych do ZSRR na mocy paktu zawartego pomiędzy ZSRR a Niemcami „O przyjaźni i granicy”, ale także z powodu działalności mojego ojca. Tuż przed wybuchem II wojny światowej stacjonował w Wilnie,

w wojsku polskim. Po 1 września, gdy jednostkę rozwiązano, powrócił do domu i wkrótce rozpoczął pracę na poczcie w Dziśnie. Nie wiem tego na pewno, ale mogę przypuszczać, że mój ojciec był członkiem Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), do którego zmobilizowano część osadników wojskowych. Po reorganizacji KOP w 1939 roku funkcjonowały różne oddziały i pododdziały. Na przykład w Pułku KOP „Głębokie” bataliony „Łużki”, „Powiśle”, a także Dziśnieńska Półbrygada Obrony Narodowej. Mój ojciec prowadził także działalność w zakresie organizacji grup zbrojnych, których celem była obrona polskich granic. Członkowie grup posiadali broń i swoje akcje zwykle prowadzili nocą. Prawdopodobnie mój ojciec i jego współtowarzysze zostali zdradzeni, bo wszystkich członków grupy rozstrzelano. Ojciec jako najmłodszy nie został rozstrzelany, ale aresztowano go, osądzono i wywieziono. Nie mieliśmy już z nim kontaktu.

Przymusowe wywiezienie mojej rodziny nastąpiło 14 czerwca 1941 roku, czyli na 8 dni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Z pewnością moja mama i dziadkowie nie spodziewali się wywózki. Gdy Rosjanie podjechali i nakazali nam wyjazd, mama i dziadkowie pakowali głównie jedzenie i ubrania. Udało się także zabrać maszynę do szycia. Wszystko to w workach, walizkach załadowano na furę. Mama wraz ze mną i moją młodszą siostrą Irenką pożegnała się ze swoimi rodzicami i wóz ruszył. Miałam wtedy 5 lat. Niewiele pamiętam, ale niektóre fakty i zdarzenia zostały w mojej świadomości na długie lata. Przypominam sobie dokładnie furę z koniem i ciemną ścianę lasu, przez który jechaliśmy. Dziadek biegł za nami ponad kilometr.

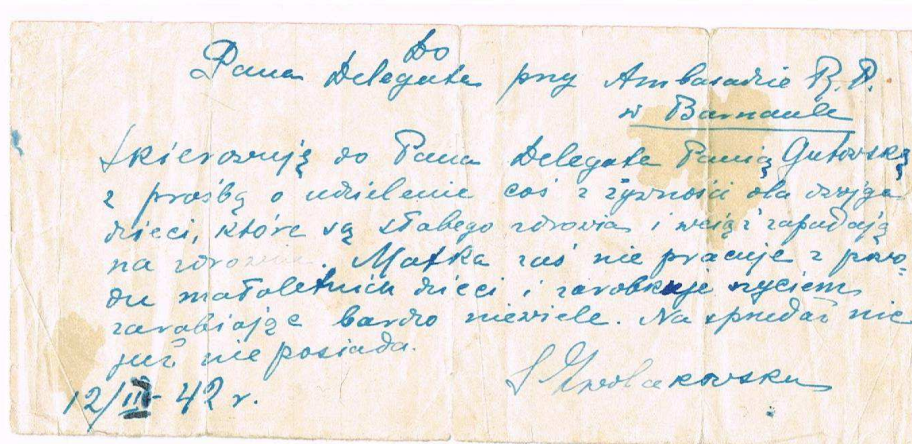
Punkt zbiorczy dla wysiedlanych znajdował się w Nowej Wilejce. Był tam duży węzeł kolejowy, z którego odchodziły transporty Polaków na Syberię i do Kazachstanu. Przypominam sobie malutkie, zakratowane okna pociągu i wydzielone za zasłonką miejsce na potrzeby fizjologiczne. Jechaliśmy bardzo długo, widziałam góry i rzekę. Widoki były piękne. Zupełnie nie pasowały do naszej sytuacji. Ludzie byli głodni, spragnieni. My mieliśmy jedzenie zabrane z domu. Podróż zakończyła się dla nas w miejscowości Barnauł, stolicy Kraju Ałtajskiego. Zakwaterowano nas w obozie otoczonym drutami kolczastymi, pilnowanym przez uzbrojonych wartowników. Tak jak innym matkom z dziećmi wyznaczono nam prycze w długim, drewnianym baraku. Szpary między belkami wypełnione były mchem i gliną. Pamiętam, że i tak wątpliwe chwile spokoju zakłócały nam wszy i pluskwy, które były z nami nawet przy wielostopniowych mrozach. A mrozy i zimy były w Barnaule solidne. Oprócz siarczystych mrozów wiały tam także silne wiatry, które wzmagaly działanie mrozu. Pamiętam, że pewnej zimy był taki okres, kiedy nie pozwolono nam wychodzić z baraków, a na ulicach w mieście milicja zbierała zamarznięte ciała ludzi.

W kilka dni po zakwaterowaniu mama, wraz z innymi kobietami zaczęła pracować przy wyrębie lasu. Kobiety oczyszczały grube pnie drzew z bocznych gałęzi. Była to ciężka praca i mama przychodziła do baraku bardzo wyczerpana po 12-14-godzinnej pracy.

W czasie, gdy matki pracowały, ja i moja siostra, podobnie jak inne dzieci byliśmy same. Z czasem zaczęłyśmy badać otoczenie. Najpierw teren obozu, potem zaczęłyśmy zapuszczać się do miasta, choć mogłyśmy narazić się na szykany mieszkańców. W Barnaule znajdowały się piękne murowane kamienice, które podziwiałam ukradkiem, a latem wybierałyśmy się z innymi dziećmi nad brzeg rzeki Ob, po której pływały duże statki pasażerskie. Podobały mi się pieśni, które śpiewali ludzie na statkach. Były bardzo melodyjne.

Uczucie, które nieodłącznie kojarzy mi się z Barnaulem to głód. Cały czas odczuwałyśmy bolesne ssanie w żołądku. Dlatego chyba tak dobrze pamiętałam obrazy i wrażenia związane z jedzeniem. W obozie jeden z baraków przeznaczony był na kuchnię. Pośrodku pomieszczenia na piecu, w dużym kotle gotowała się woda. Do maszyny obierającej wrzucano widłami zamrożnięte ziemniaki i tak powstawała papka, którą wrzucano do wrzącej wody. Dodawano jakieś liście i taką zupę, która przypominała szarą maż rozdzielano nam wlewając do puszek po konserwach. Czasami podchodziłyśmy pod kuchenny barak z siostrą licząc na to, że któraś z kucharek rzuci nam kawałek suchego chleba albo kartofel.

Podczas jednej z wędrówek po mieście trafiłam na bazar. Stałam przy straganie, gdzie sprzedawano tłuczone, gotowane ziemniaki. Pamiętam, jak bardzo marzyłam, że może handlarka da mi ich skosztować. Moje marzenie się jednak nie spełniło. Na targu było dużo cudownych rzeczy do jedzenia: bliny, pierożki, pestki dyni, słonecznika (tak zwane *siemieńczki*) i swego rodzaju lizaki. Były to małe tafelki zamrożonego mleka.



Skierowanie do delegata przy ambasadzie RP.
Archiwum prywatne Marii Sadowskiej.

W Barnaulu była fabryka oleju. Olej stanowił cudowne uzupełnienie naszej diety. Pamiętam glinianą, ceglastą miseczkę, w której znajdował się złoty olej słonecznikowy. Maczałyśmy w nim czarny chleb, tak zwany *kirpiczok*, który nasza mama jakimś cudem zdobywała.

Gdy skończyła się praca w lesie, nasza mama próbowała utrzymywać nas szyjąc na zabranej z Miszelmont maszynie. Nie było jednak z tego dużo korzyści, więc mama sprzedała maszynę. Pieniądze jednak szybko się skończyły i głód znowu zajrzał nam w oczy, więc tak jak inne kobiety mama zaczęła chodzić nielegalnie na roztaczające się wokół miasta pola słoneczników, dyń czy arbuźów i przynosiła do domu te skarby. Jedliśmy też lebiodę i pokrzywy. Bardzo rzadko miałyśmy kartofle.

W lutym 1942 roku nasza sytuacja była już katastrofalna. Byłyśmy niedożywione i często chorowałyśmy.

Mama otrzymała więc od przedstawiciela Związku Patriotów Polskich w ZSRR skierowanie do delegata przy ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Barnaulu z prośbą o udzielenie pomocy żywnościowej dla nas.

Na podstawie tego skierowania otrzymałyśmy jedzenie i ubrania. Pamiętam, że do mojego płaszczyka przyszyta była biało-czerwona flaga. Niestety udzielona pomoc nie wystarczyła na długo.

Wkrótce wypuszczono nas z obozu i zamieszkałyśmy w drewnianym domu w mieście. Zesłańcy nie mogli mieszkać w domach murowanych. Razem z nami w pokoju mieszkało jeszcze pięć osób. Nie miałyśmy łóżka, więc mama zrobiła nam legowisko na dużym kufrze podróżnym i kilku pudłach. Zamiast piżam miałyśmy płaszcze z biało-czerwonymi wszywkami, w których niestety bardzo szybko zagnieździły się wszy.

Z okien naszego pokoju widziałyśmy podwórko. Jednak nie mogłyśmy się na nim bawić, bo były tam małe ziemianki. Na kopczykach ziemi próbowano sadzić ziemniaki ze zdobytych obierok. Czasami, z „oczka” na obierce można było wyhodować roślinę.

Głód nie opuszczał nas tak samo jak wszy. Pewnego dnia razem z innymi dziećmi zaprosił nas nasz mały sąsiad, Żyd mieszkający z rodzicami na partrze. Wielkość pomieszczenia i meble zrobiły na nas ogromne wrażenie. Ale najbardziej utkwiła mi w pamięci wizyta w kuchni. Był tam duży, drewniany, świeżo wyszorowany stół. Miał szufladę. Kiedy chłopiec ją otworzył naszym oczom ukazała się góra białych sucharków. Oniemieliśmy z wrażenia i oczekiwania na słodki sucharek. Ssanie w żołądku się nasiliło, do ust napłynęła ślina. Wtedy, nagle jednym ruchem ręki szufladę zamknęto. Ja i inne dzieci zawiedzione zaczęłyśmy błagać o kawałek upragnionego sucharka. Niestety zostałyśmy brutalnie przepędzone. Prawie wszystkie dzieci zesłańców uciekły z krzykiem, ale mali Rosjanie nie dali za wygraną. Chwycili kamienie i obrzucili okna właściciela sucharków.

Podczas pobytu w mieście mama próbowała zapewnić mnie i Irencę, chociaż namiastkę edukacji. Wysłała nas do jednej z kuzynek, która prowadziła w swoim mieszkaniu lekcje dla polskich dzieci. Niestety byłam tam tylko jeden raz, bo był to akurat pechowy dzień, kiedy do mieszkania włamał się moskiewski łobuz z nożem. Pamiętam, że wszyscy krzyczeli i to na szczęście spłoszyło intruza. Ale na lekcje więcej nie poszłam.

W marcu 1943 roku mama dostała pracę w wojennym obozie numer 2 jako sprzątaczką. Nie zarabiała wiele, bo głód nas nie opuszczał, podobnie jak wszy i pluskwy. Obie z siostrą zachorowałyśmy. Choroba była ciężka, bo trafiłyśmy do szpitala. Niewiele z tego okresu pamiętam. Nie wiem, kto nas tam dostarczył i kto nas odebrał. Pamiętam tylko uporczywy, męczący kaszel i przylegające do skóry zakrwawione koszulki, bo oprócz szkarlatyny i kokluszki zaraziłyśmy się także ospą wietrzną. Po powrocie ze szpitala byłyśmy z siostrą ogromnie wyczerpane i słabe. Opieka nad nami przekraczała możliwości mamy i trafiłyśmy do domu dziecka w Kontoszynie. Decyzja o oddaniu nas do domu dziecka musiała być dla naszej mamy straszna, ale wybrała dla nas możliwość lepszego życia i zdrowia.

Dom dziecka w Kontoszynie prowadzony był przez polskich zesłańców i jak wynika z posiadanej przeze mnie od kilku lat listy, prowadził opiekę nad dziećmi polskimi, żydowskimi i ukraińskimi. W domu mieszkało 63 wycho-

wanków. Chłopcy stanowili większość. Było ich 38. Kiedy wyjeżdżaliśmy do Polski najmłodsi mieli od 7 do 10 lat, a najstarsi od 16 do 18 lat. Personel stanowiło 17 osób. Funkcję dyrektora pełnił Eugeniusz Bednarski. Mieszkał w domu razem z żoną i synem.

My z Irenką zostałyśmy zakwaterowane w dużej sali z innymi dziewczynkami. Ogolono nam głowy, a ubrania, w których przyjechałyśmy spalono, aby pozbyć się wszy. Miałyśmy własne, żelazne łóżka i kolorowe koce. Moje łóżko stało przy piecu i pamiętam, że bałam się, że iskry z pieca wpadną mi do łóżka.



Wychowankowie domu dziecka w Kontoszynie. Kółeczkami otoczono: w dolnym rzędzie Marię Gutowską (dziś Sadowska) z siostrą Irenką, powyżej – nauczycielka, Jadwiga Romanowska i dyrektor domu – Eugeniusz Bednarski. Źródło: archiwum prywatne Marii Sadowskiej.

Nie miałyśmy ze sobą żadnych zabawek, ale starsi chłopcy zrobili dla najmłodszych huśtawkę. Czasami siadywałyśmy sobie z Irenką gdzieś w kąciuku i cichutko wspominałyśmy pozostawione w Miszelmontach zabawki. Pocięliśmy się, że dziadek będzie o nie dbał, a kiedy wrócimy do domu, to będą na nas czekały.

Warunki żywieniowe w domu dziecka były dobre. Nie czułyśmy już głodu. Pomoc z USA w postaci beczek z mąką, mleka w proszku, sproszkowanych jajek, a czasem słodczy skutecznie pomagała opiekunom zapewnić nam posiłki. Dzieci chodziły w schludnych, czystych ubraniach dostosowanych do pogody. Mogłyśmy spacerować po okolicy. Niedaleko domu było jezioro. Dla mnie wtedy było ogromne, otoczone bagnami. Mogło być niebezpieczne, ale dla nas miało ogromną siłę przyciągania, bo wokół rosły jagody i żurawina, które uwielbialiśmy. Radość z dodatkowego pożywienia psuły nam meszki i komary, które z kolei żywiły się naszą krwią.

Zimą, kiedy jeziorko zamarzało wędrowaliśmy po lodowej tafli po drewno i gałęzie na opał. Pamiętam jedną z zim, kiedy śnieg zasypał nasz barak aż po komin i starsi chłopcy musieli wyjść przez dach, żeby odśnieżyć nam drogę po drewno.

Podczas pobytu w domu dziecka uczyliśmy się także. Dyrektorką szkoły była pani Romanowska. To była kobieta z ogromną klasą, bardzo ładna, spokojna, mądra, nigdy nie podnosiła na nas głosu. Przyjaźniłam się z jej córką. Tak jak ja miała na imię Maria. Dla odróżnienia, na mnie wołano Marysia, a na nią Marychna. Marychna miała piękne, długie blond włosy. Nosila w nich wielkie kokardy. Ja z zachwytem na nie patrzyłam. Sama miałam przecież ogoloną głowę.

Oprócz pani Romanowskiej uczyła nas także pani Książek – pielęgniarka. Uczyliśmy się głównie pisania liter i wyrazów polskich, bo przecież dotychczas mówiliśmy po rosyjsku i to nie zawsze poprawnie. Zeszyty organizował nam dom dziecka, ale czasami od żon oficerów przebywających na rekonwalescencji w Kontoszyńcu dostawaliśmy także papier i zeszyty. Pamiętam do dziś piękny kredowy papier w niebieskie i czerwone linie. Nieraz zapraszały nas także do siebie. W ich pięknych mieszkaniach pełno było cudownych rzeczy. Ściany obwieszane były instrumentami muzycznymi a w pokoju stało pianino z polskim napisem.

Z okazji różnych uroczystości dzieci przygotowywały spektakle, koncerty, występy artystyczne i sportowe. Ja z Marychną ćwiczyliśmy układy akrobacyjne, bo obie lubiłyśmy zajęcia sportowe. Moja siostra natomiast bardzo ładnie śpiewała. Szczególnie uroczyste obchodzono święta Bożego Narodzenia. Nie przychodził, co prawda do nas święty Mikołaj, ale pod choinką zawsze znalazły się dla nas łakocie i własnoręcznie wykonane drobne prezenty. Nieodłącznym elementem świąt była zawsze modlitwa o powrót do domu, do Polski.

Pewnego dnia nasze prośby zostały wysłuchane. Pierwsze transporty z dziećmi wyruszyły do Polski na początku lipca 1946 roku. Od kolegów wiem, że na opuszczenie domu dziecka pozwolono tylko Polkom i Żydom, a dzieci ukraińskie i rosyjskie pozostały. Ja z siostrą wyjechałyśmy 11 lipca. Naszym bagażem były worki z płótna, na których wypisano kopiającym ołówkiem nasze nazwiska i imiona. Niestety zaraz po wyjeździe zaczęłam gorączkować. Okazało się, że mam malarię. Byłam nieprzytomna i nie pamiętam nic z podróży. Dzieci z naszego domu dziecka trafiły do Gostynina, w którym znajdował się punkt zbiorczy dla dzieci z domów dziecka z ZSRR. Wiem, że po przyjeździe do Polski dzieci żydowskie były od razu zabierane i wywożone gdzieś ciężarówkami. Ja i siostra trafiłyśmy do szpitala. Tam zaczęto podawać nam chininę. Ponieważ była bardzo gorzka, pielęgniarki wkładały ją do cukierków – krówek. Dziś mam z tymi cukierkami związane mieszane uczucia. Pamiętam, że pewnego dnia miałam pecha i nie tylko zwymiotowałam lek, ale jeszcze stłukłam termometr. Bardzo się bałam konsekwencji. Jedną z pielęgniarek – Katia pocieszała mnie wtedy. Była bardzo kochana.

Długo czekałyśmy na naszą mamę, bo okazało się, że wyjechała ona z Barnału pierwszym transportem i zamieszkała w Poznaniu. Wysłała list z wiadomością do Kontoszyńca. Potem jednak przeniosła się do Pastęka koło Elbląga, gdzie był dziadek. Zwrotny list z Kontoszyńca nie zastał jej już w Poznaniu.

Wreszcie jednak mama przyjechała po nas do szpitala. To paradoksalnie, jedno z najsmutniejszych moich wspomnień. Weszła długim korytarzem na oddział zakaźny, a gdy otworzyła drzwi podbiegła do niej gromadka dzieci. Pielęgniarka Katia zapytała:

– Która jest Pani córka?

Matka bezradnym głosem powiedziała wtedy:

– Ja nie wiem, która jest moja córka.

Stałam wtedy na końcu gromadki. Nie poznałam jej także, dopiero kiedy się odezwała poznałam jej głos. Wtedy dopiero mogliśmy się cieszyć przez łzy.

Kilka dni potem przyjechaliśmy do dziadka. Kiedy zestawiał mnie z wozu na ziemię powiedział:

– Patrzcie, Marysia przyjechała na swoje imieniny!

To było 22 lipca 1946 roku. Po pięciu latach na zesłaniu zaczynało się dla mnie nowe życie w gronie kochających i wspierających mnie ludzi i dziadka, którego ubóstwiałam.

Wspomnienia czasem mnie przytłaczają, innym razem pozwalają prze-trwać trudne chwile i napawają optymizmem. Kiedy patrzę wstecz, widzę jak dużo było mi dane przeżyć i myślę, że te przeżycia bardzo mnie umocniły.